



BERNARD
Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM III



PANOWIE
PÓŁNOCY



BERNARD
Cornwell

PANOWIE
PÓŁNOCY

TŁUMACZENIE
MATEUSZ PYZIAK


OTWARTE
KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *The Lords of the North*

Copyright © Bernard Cornwell 2006

Copyright for this edition © Wydawnictwo Otwarte 2019

Tłumaczenie: Mateusz Pyziak

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-529-7



www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

CZĘŚĆ PIERWSZA

KRÓL W KAJDANACH

Laknąłem mroku. Owej letniej nocy półksiężyc płynął po niebie, wzbudzając mój niepokój, ilekroć jego świetlista tarcza wylaniała się zza chmur. Pragnąłem mroku.

Niosłem dwie skórzane sakwy na szczyt niewielkiego wzniesienia wyznaczającego północną granicę ziem. Moich ziem. Posiadłość zwała się Fifhaden. Król Alfred nadał mi ją za zasługi, które oddałem mu pod Ethandun – na rozległym, zielonym wzgórzcu, gdzie rozgromiliśmy armię duńską. Wyrósły tam naprzeciw siebie dwa mury tarcz, a wraz z końcem bitwy Alfred na powrót stał się prawdziwym królem. Duńczycy zostali pokonani, Wessex był ocalony. Śmiem twierdzić, że to zwycięstwo kosztowało mnie znacznie więcej niż pozostałych. Zginęła moja kobieta, poległ przyjaciel, a grot nieprzyjacielskiej włóczni rozplątał mi prawe udo. Fifhaden miało być dla mnie zadośćuczynieniem za poniesione straty.

„Pięć lanów”^{*} – to właśnie oznacza nazwa Fifhaden. Pięć lanów! Splachetek ziemi, ledwie wystarczający do wyżywienia czterech rodzin niewolnych, którzy go uprawiali, strzygli

^{*} Lan (ang. hide) – od VII wieku w średniowiecznej Anglii podstawowa jednostka ziemska, wynosząca około 100 akrów (40 hektarów). Obszar taki wystarczał na utrzymanie jednej rodziny ze służbą. Pięć lanów starczało z kolei na utrzymanie rodziny oraz wyekwipowanie jednego wojownika uczestniczącego w fyrdzie (przyp. tłum.).

owce i zastawiali sieci na ryby w rzece Kenet. Innym wojownikom przyznano rozległe majątki, a Kościół otrzymał wielkie zasobne knieje i żyzne pastwiska. Mnie w udziale przypadło marnych pięć łanów. Nienawidziłem żalosego Alfreda, świętoszkowatego władcy, który skąpił mi zaufania, ponieważ nie byłem chrześcijaninem i pochodziłem z Północy, ale przede wszystkim dlatego, że to mnie zawdzięczał zwycięstwo pod Ethandun, że to dzięki mnie odzyskał królestwo. W podzięce za tę przysługę król mianował mnie panem Fifhaden. Draństwo.

Zaniosłem dwie sakwy na łagodny pagórek porośnięty wyskubaną przez owce trawą. Okolica była usiana szarymi głazami, które połyskiwały srebrzyście, gdy na poły przesłonięta twarz księżycy wychylała się zza postrzępionych chmur. Przykucnąłem za potężnym kamieniem. Obok przykłęła Hild.

Była moją kobietą. Wcześniej pędziła żywot zakonnicy w Cippanhamm, lecz Duńczycy, zajmwszy gród, zhańbili ją. Teraz była ze mną. Czasem, w nocy, słyszałem jej modlitwy – rozpaczliwe, przerywane łkaniem litanie. Spodziewałem się, że prędzej czy później dziewczyna wróci do swojego boga, lecz na razie to u mnie znajdowała pocieszenie.

– Na co czekamy? – spytała.

Przytknąłem palec do ust. Hild patrzyła na mnie bacznie. Miała szczupłą, pociągłą twarz, z której wyzierały wielkie, pytające oczy. Spod okalającej jej głowę chustki wymykały się złote kosmyki. Uznałem, że marnowała się jako mniszka. Alfred, ma się rozumieć, pragnął, by powróciła do klasztoru. Dlatego właśnie ją przyciągnąłem. Ażeby uczynić wbrew temu głupcowi.

Odczekałem dłuższą chwilę, upewniając się, że nikt nas nie obserwuje. Nie wydawało się to wielce prawdopodobne, gdyż ludzie niechętnie opuszczają domostwa nocną porą, gdy po ziemi grasują przerażające istoty. Hild ścisnęła krucyfiks w dłoniach, lecz ja byłem spokojny. Od dziecięcych lat uczyłem się kochać mrok. Jam jest niczym sceadugenga, Kroczący Ciebie, jeden z budzących w ludziach strach demonów nocy.

Przekonawszy się, że oprócz nas na wzgórzu nie ma żywej duszy, dobytek Żądło Osy, krótszy z moich mieczy, i jego ostrzem wyciąłem w darni czworokąt, który odłożyłem na bok. Zacząłem pogłębiać dół, przesypując ziemię na rozłożony płaszcz. Broń raz po raz uderzała w kredową skałę i tkwiące w niej krzemienie. Wiedziałem, że klinga się wyszczerbi, ale nie przerywałem pracy, póki jama nie była wielkości grobu dla dziecka. Na dnie ułożyliśmy sakwy. Stanowiły one mój skarb. Znajdowało się w nich srebro i złoto, cały majątek, jaki zdołałem zgromadzić, a który w drodze byłby mi zbyt ciężarem. Posiadałem tylko pięć łanów ziemi, dwa miecze, kolczugę, tarczę, helm, konia i chudą zakonnice. Nie miałem ludzi, którzy pod moją nieobecność strzegliby skarbu, dlatego zdecydowałem się go ukryć. Zatrzymałem jedynie kilka sztuk srebra, resztę zaś zagrzebałem w jamie. Zasyпалиśmy dół, udeptaliśmy ziemię i umieściliśmy darń na swoim miejscu. Poczekaliśmy, aż księżyc wychynie zza chmur, i przyjrzawszy się uważnie łące, uznałem, że nikt nie odkryje, iż gleba została wzruszona. Zapamiętałem odległość kryjówki od pobliskich kamieni. Wiedziałem, że pewnego dnia, kiedy będę w stanie zadbać o swój skarb, wrócę po niego. Hild stała nieruchomo, wbijając wzrok w miejsce, gdzie pogrzebaliśmy sakwy.

– Alfred mówi, że jesteś przypisany do tej ziemi – powiedziała.

– Alfred może naszczać sobie do gardła – odparowałem. – Najlepiej, gdyby bękart się przy tym udławił i zakończył żalosny żywot.

Nie zanosilo się na to, by król miał cieszyć się długim życiem, był bowiem nader chorowity. Liczył sobie wówczas dwadzieścia dziewięć wiosen, o osiem więcej niż ja sam, lecz wyglądał na pięćdziesiąt. Nie sądzę, aby ktokolwiek spodziewał się, by przeżył więcej niż kilka zim. Podstarzały władca wciąż narzekał na bóle brzucha i biegał do dołu kloaczego albo trzął się w febrze.

Hild przesunęła dłonią po przykrywającej skarb trawie.

– Czy to oznacza, że wrócimy kiedyś do Wessexu? – zapytała.

– Znaczy to tyle – odparłem – że z bogactwem w sakwie nie należy podróżować po kraju pełnym nieprzyjaciół. Tutaj skarb będzie o wiele bezpieczniejszy. Jeśli przeżyjemy, wrócimy po niego. Gdybym zginął, sama po niego przyjedziesz.

Dziewczyna nic nie odrzekła. Ziemię, która pozostała na płaszczu, przenieśliśmy na brzeg rzeki i wrzuciliśmy do wody.

Z nadejściem świtu dosiedliśmy koni i ruszyliśmy na wschód. Wybieraliśmy się do Londynu, gdzie początek biorą wszystkie drogi. Prowadziło mnie przeznaczenie. Był rok 878. Miałem dwadzieścia jeden lat i byłem święcie przekonany, że mieczem wywalczę sobie cały świat. Ja, Uhtred z Bebbanburga, człowiek, który uśmiercił Ubbę Lodbroksa na morskim brzegu, a pod Ethandun pokonał Sveina z Białego Konia – jednym słowem wojownik, dzięki któremu Alfred odzyskał

królestwo. Nienawidziłem Alfreda, toteż opuszczałem jego ziemie. Moją ścieżką była ścieżka miecza, która miała zaprowadzić mnie w rodzinne strony. Zmierałem na północ.

Londyn to najwspanialsze miasto w całej Brytanii. Odkąd pierwszy raz ujrzałem to miejsce, nie mogłem oprzeć się urokowi na pól zniszczonych budowli i gwarnych ulic, jednak tym razem pozostałem tam z Hild tylko dwa dni. Zatrzymaliśmy się w saskiej gospodzie w nowym mieście, na zachód od rozpadających się rzymskich murów. Gród należał podówczas do Mercji i był obsadzony duńskim garnizonem. W przepelnionych tawernach nad kuflami ale zasiadali kupcy i właściciele statków, głównie cudzoziemcy. Jeden z nich imieniem Thorkild zgodził się zabrać nas do Northumbrii. Przedstawiłem się jako Ragnarson. Duńczyk przyjął to do wiadomości, nie zadając zbędnych pytań.

Przystąpiłem na jego warunki. Wręczyłem mu dwie srebrne monety, dodatkowo przyrzekając zasiąść do jednego z wiosel. W moich żyłach płynęła saska krew, lecz władałem językiem rozmówcy jak własnym, wychowałem się bowiem wśród Duńczyków, więc Thorkild uznał mnie za krajana. Mój znakomity hełm, kolczuga i dwa miecze zdradzały wojownika. Kupiec przypuszczał zapewne, iż ma przed sobą jednego ze zbiegów z pokonanej armii, lecz chyba niewiele go to obeszło. Potrzebował ludzi. Wielu handlarzy obsadzało ławki wioślarskie niewolnikami, lecz Thorkild uważał to za zbyt kłopotliwe, dlatego brał na pokład wyłącznie ludzi wolnych.

Odbiliśmy, korzystając z odpływu. Brzuch łodzi wypełniały bele lnu, olej z kraju Franków, bobrowe skórki, dziesiątki

siodeł najlepszego gatunku i skórzane sakwy z drogocennymi kminkiem i gorczycą. W miarę jak oddalaliśmy się od portu, Tamiza rozszerzała się, przechodząc w estuarium. Płynęliśmy przez Anglię Wschodnią, spowitą nieprzeniknionymi mgłami. Od początku podróży mleczne kłęby uparcie sunęły ku nam od morza, i to przez wiele dni. Kilkakrotnie niepogoda zmuszała nas do stawania na kotwicy. Nawet kiedy widoczność nieco się poprawiała, nie ryzykowaliśmy oddalania się od brzegu, nie chcąc stracić go z oczu.

Zdecydowałem się na drogę morską, sądząc, że w ten sposób dotrę do domu szybciej niż traktami. Tymczasem brnęliśmy mozolnie przez mglisty bezkres, mila za milą, klucząc wśród błotnistych mielizn, wyszukując przesmyki łączące małe zatoczki, często walcząc ze zdradliwymi pływaniami. Codziennie o zmierzchu cumowaliśmy lub kotwiczylimy łódź. Na dobitkę, po tym jak pękła nam stewa dziobowa, cały tydzień spędziliśmy unieruchomieni na jakichś zapomnianych przez bogów wschodnioangielskich moczarach. Nabieraliśmy wody szybciej, niż byliśmy w stanie ją wylewać. Chcąc nie chcąc musieliśmy wyciągnąć statek na mulistą plażę i przeprowadzić niezbędne naprawy. Wreszcie udało nam się uszczelnić kadłub. I wtedy również aura się odmieniła.

Mgła się rozeszła i na falach zagrały słoneczne iskry. Powioslowaliśmy na północ, podobnie jak wcześniej zatrzymując się na noc, dla wytchnienia. Napotkaliśmy kilkanaście innych jednostek, dłuższych i smuklejszych niż statek Thorkilda. Były to duńskie okręty wojenne, bez wyjątku zmierzające w tym samym co my kierunku. Odgadywałem, że wiozły zbiegłych z rozgromionej armii Guthruma wojowników, kierujących się do portów Anglii Wschodniej, a potem zapewne do Danii

albo Fryzji, lub też gdziekolwiek indziej, gdzie o łupy było łatwiej niż w rządzonej przez Alfreda Wessexie.

Thorkild był wysokim, posępnym mężczyzną, który, jak sam mówił, liczył sobie trzydzieści pięć lat. Długie, siwiejące włosy zaplatał w grube, sięgające pasa warkocze. Na ramionach nie nosił naramienników, które świadczyłyby o męstwie okazanym w walce.

– Nigdy nie palilem się do boju – wyznał bez skrępowania. – Wychowano mnie na kupca. Całe życie param się handlem. Syna także przysposabiam do tego zajęcia, by zastąpił mnie, kiedy umrę.

– Mieszkasz w Eoferwicu? – zainteresowałem się.

– W Londynie. Ale w Eoferwicu mam skład. To dobre miejsce do skupu futer.

– Czy Ricsig wciąż króluje w tamtych stronach? – zapytałem.

Duńczyk potrząsnął głową.

– Będzie już ze dwa lata, odkąd pożegnał się z życiem. Jego miejsce zajął możny imieniem Egbert.

– Kiedy byłem dzieckiem, w Eoferwicu także panował król Egbert.

– Pewnie to jego syn, jeśli nie wnuk, a może kuzyn? W każdym razie to Sas.

– Kto zatem trzyma w garści Northumbrię?

– My, rozumie się – odparł zwięźle kupiec, mając na myśli Duńczyków.

Wikingowie mieli w zwyczaju nakładać korony na głowy potulnym Sasom. Egbert, kimkolwiek był, niewątpliwie należał do sfery monarchów prowadzanych na smyczy przez przybyłych z Północy zdobywców. Osadzając na tronie lokalnego wielmożę, najeźdźcy zachowywali pozory praworządności.

Prawda jednak była taka, że cała władza skupiała się w rękach jarla Ivara, Duńczyka panującego nad większością ziem rozciągających się wokół Eoferwicu.

– To Ivar Ivarson – uściślił głosem przepelnionym dumą Thorkild. – Jego ojcem był sam Ivar Lodbrokson.

– Znałem Ivara Lodbroksona – rzekłem.

Nie sądzę, by dał wiarę moim słowom, chociaż mówiłem prawdę. Ivar Lodbrokson był siejącym postrach wodzem. Ten przeraźliwie chudy, przypominający chodzący szkielet, gwałtowny i upiorny w gniewie wojownik przyjaźnił się z jarlem Ragnarem, w którego domu dorastałem. Brat Ivara – Ubba – zginął od mojego miecza w bitwie nad brzegiem morskim.

– Ivar jest najpotężniejszym panem w Northumbrii – wyjaśnił Thorkild – wyjąwszy dolinę rzeki Wiire. Tam rządzi Kjartan. – Ręka kupca powędrowała ku zawieszonemu na szyi młotowi Thora. – Przyłgnął do niego przydomek Kjartan Okrutny – dodał – a jego syn to jeszcze większy lotr.

– Sven – mruknąłem ponuro. Swego czasu poznałem zarówno Kjartana, jak i Svena. Obaj byli moimi zaprzysięgłymi wrogami.

– Sven Jednooki – dodał, krzywiąc się, Thorkild, ponownie dotykając amuletu, jakby chciał odpędzić nieszczęście, które mogło zostać sprowadzone samym wypowiedzeniem tych imion. – Na północ od nich – ciągnął – rządzi Aelfric z Bebbanburga.

Jego znałem równie dobrze. Aelfric z Bebbanburga był moim wujem. Przywłaszczył sobie należne mi ziemie.

– Aelfric? – zdziwiłem się. Udałem, że imię to nic mi nie mówi. – Kolejny Sas?

– Owszem – potwierdził Thorkild. – Jego twierdza jest zbyt potężna, by ją zdobyć – dorzucił, wyjaśniając przyczynę, dla

której saskiemu ealdormanowi pozwolono władać nad częścią Northumbrii – a on nie wchodzi nam w drogę.

– Przyjaciół Duńczyków?

– Nie jest nam wrogiem – odparł. – Zasadniczo władza skupia się w rękach trzech wielkich panów: Ivara, Kjartana i Aelfrica. Co zaś się dzieje za górami, w Kumbrii*, kto wie? – Thorkild miał na myśli krainę leżącą na zachód od Northumbrii, nad Morzem Irlandzkim. – Dawniej królował tam potężny jarl – ciągnął – wołali na niego Hardkanut, lecz doszły mnie słuchy, jakoby poległ w jakiejś utarczce. A teraz? – rzucił pytanie i wzruszył ramionami.

Tak zatem miały się sprawy w Northumbrii, królestwie rządzone przez rywalizujących panów, z których żaden nie miał powodów, aby darzyć mnie szczególną sympatią, a dwóch uradowałoby się, widząc mnie martwym. Lecz była to kraina, którą w myślach nazywałem domem, gdzie czekał mnie ważny obowiązek do wypełnienia. Dlatego właśnie podążyłem drogą miecza.

Ciążyła na mnie powinność wynikła z krwawej rodowej waśni. Wszystko zaczęło się pięć lat wcześniej, kiedy Kjartan i jego ludzie pod osłoną nocy najechali dwór Ragnara. Podpalili zabudowania, mordując każdego, kto próbował wydostać się z objęć płomieni. Ragnar był człowiekiem, który przygarnął mnie i traktował jak własnego syna, a ja kochałem go jak ojca. Jego niegodna śmierć wołała o pomstę. Mój opiekun miał potomka, także o imieniu Ragnar, z którym łączyła mnie braterska więź, lecz Ragnar Młodszy nie mógł

* Kumbria (Cumbria) – kraina w północno-zachodniej Anglii. W wiekach V–VII centrum celtyckiego królestwa Rheged zamieszkiwanego przez brytońskich Cymrów – Walijczyków. W VII stuleciu większą część Kumbrii zajęli Anglosasi z Northumbrii, a mniejszą Szkoci. W IX wieku Kumbria została podbita przez wikingów duńskich i norweskich (przyp. red.).

dokonać zemsty, gdyż był przetrzymywany jako zakładnik w Wessexie. Podążałem zatem na północ, by odnaleźć Kjartana i go zgładzić. Taki sam los czekał jego syna Svena Jednookiego, nędznika, który pojmał córkę Ragnara w niewolę. Czy Thyra wciąż żyła? Nie wiedziałem. Wiedziałem jedynie, że poprzysiągłem pomścić Ragnara Starszego.

Często kiedy napierałem na wiosła łodzi Thorkilda, dziwiłem się swej lekkomyślności. Wracalem w rodzinne strony, do Northumbrii, gdzie panowali moi śmiertelni wrogowie, lecz właśnie tam wiodło mnie przeznaczenie. Kiedy wreszcie ujrzałem szerokie ujście rzeki Humber, poczułem, jak wzruszenie ściska mnie za gardło.

Zbliżaliśmy się do płaskiego, błotnistej wybrzeża mającego na rozmokłym horyzoncie. Płynizny oznaczone były wierzbowymi witkami ułatwiającymi nawigację w górę niewidocznych nurtów. Pod stalowoszarą powierzchnią wody falowały palczaste algi i morszczyzny. Znalazłszy się u ujścia rzeki, która prowadziła do Northumbrii, zrozumiałem, że podjąłem właściwą decyzję. Tutaj był mój dom. Nie w królestwie Alfreda, wśród żyznych pól i łagodnych pagórków. Dusilem się w ujarzmionym przez króla i kościół Wessexie. Dopiero tutaj, pod niebem, po którym wędrują klucze dzikich ptaków, pełną piersią zaczerpnałem rześkiego powietrza.

– To twoje rodzinne strony? – zapytała Hild, kiedy po obu burtach widać już było ląd.

– Moja ziemia leży na dalekiej północy – odparłem. – Tam jest Mercja. – Wskazałem południowy brzeg. – A tu zaczyna się Northumbria – wyjaśniłem, zwracając się w przeciwnym kierunku. – Tereny na północ od niej zajmują barbarzyńcy.

– Jacy barbarzyńcy?

– Szkoci – odrzekłem i splunąłem za burtę. – Zanim przybyli Duńczycy, to oni byli naszymi najgroźniejszymi wrogami. Nękali nas bezustannie, czyniąc zbrojne wypadki na południe. Ich najazdy stały się rzadsze wraz z pojawieniem się ludzi Północy, którzy gnębili ich tak samo jak nas, jednak niebezpieczeństwo ze strony dzikich sąsiadów nie zostało całkowicie zażegnane.

Powiosłowaliśmy w górę Ouse, miarowo mieląc wodę w rytm intonowanej pieśni. Prześlizgując się pod pochyłymi koronami wierzb i olch, mijaliśmy łąki i leśne ostępy. Teraz, kiedy znaleźliśmy się w granicach Northumbrii, Thor-kild zdjął z dziobu wyrzezaną w drewnie psią głowę, by wściekle wyszczerzony pysk bestii nie obrażał panujących na tych ziemiach bóstw opiekuńczych. Zmierzchało, kiedy sunąc pod rozmytym niebem, dotarliśmy do Eoferwicu, najznacniejszego grodu w całym królestwie, gdzie poległ mój ojciec i gdzie spotkałem Ragnara Starszego, który wychował mnie w głębokiej miłości do walecznych Duńczyków.

Nie wioslowałem. Nasz statek zbliżał się do miasta. Thor-kild zmienił mnie po tym, jak w rytm pieśni pracy zginałem kark przez cały długi dzień. Stałem na dziobie, patrząc w snujący się znad chałup dym. Wtedy w polu widzenia pojawiło się płynące z prądem ciało dzieciaka. Mógł liczyć dziesięć, najwyżej jedenaście wiosen. Był niemal nagi, jedynie jego biodra okrywały podarte lachmany. W jego gardle ziała rana, z której wody rzeki wypływały całą krew. Długie, jasne włosy falowały wokół głowy topielca na podobieństwo wodorostów.

Nurt przyniósł dwa kolejne ciała, nim znaleźliśmy się na tyle blisko wałów, by dostrzec zebrane na nich liczne postaci mężczyzn z włóczniami i tarczami. Na brzegu rzeki

oczekiwała nas gromada wojowników w pełnym bojowym rynsztunku. Mężczyźni czujnie się nam przyglądali. Byli w kolczugach i mieli dobyte miecze. Thorkild wydał komendę. Wiosła podniosły się i znieruchomiały. Woda ciekła z uniesionych piór. Łódź obróciła się z prądem. Usłyszałem dobiegające z miasta wrzaski.

Wróciłem do domu.

Jak Gra o tron, ale prawdziwa.

„THE OBSERVER”

**Bernard Cornwell tworzy najlepsze
sceny batalistyczne spośród wszystkich
pisarzy, których czytałem.**

GEORGE R.R. MARTIN

Trzeci tom bestsellerowej serii Bernarda Cornwella o losach bohaterskiego Uhtreda z Bebbanburga. Na jej podstawie BBC realizuje serial *Upadek królestwa*.

Zwycięstwo pod Ethandun drogo kosztowało Uhtreda – poległ jego przyjaciel, zginęła królowa cieni, jego kochanka. A za udział w bitwie otrzymał od króla Alfreda zaledwie marny splachetek ziemi.

Uhtred opuszcza Wessex i wyrusza do Northumbrii, by odzyskać i zabić swych wrogów: wuja, który przywłaszczył sobie jego ziemie, oraz Kjartana i Svena, którzy zamordowali jego przybranego ojca, jarla Ragnara. Czy dane mu będzie nasycić się zemstą?

Więcej o całej serii:

www.wojnywikingow.pl

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-529-7



9 788375 155297

Cena detal. 54,90 zł



WYDAWNICTWO
OTWARTE

